

LUDZIOSTKI

OPOWIEŚCI ZBŁĄKANYCH DUSZ



MARCIN NADRATOWSKI

RACHUNEK SUMIENIA

Pomieszczenie. Zamiast ścian – lustra. Nieregularne kształty, wypukłe, wklęsłe, płaskie, duże, małe, średnie, każde. Zamiast podłogi – lustra. Nieregularne kształty, wypukłe, wklęsłe, płaskie, duże, małe, średnie, każde. Sufitu brak, tylko czern: czern jak smoła, lepka, gęsta, infekcyjna. A potem pobudka, a po pobudce pustka, skąd, jak, czemu, kiedy, gdzie i kim on właściwie jest? Pamięć wraca powoli, bez chronologii, bez ładu i składu, bez sensu.

Wyrwa pod czaszką, jakby ktoś wpadł do jego głowy i czarnym markerem pokrył najświeższe wspomnienia. Ostatnią rzeczą kołatającą na granicy świadomości była randka z Karoliną.

Starówka, godzina dziewiętnasta, pod pomnikiem, tam chyba się spotkali, choć nie dałby sobie za to ręki uciąć – ba, paznokcia nawet. Delikatny pocałunek na przywitanie, chwila sztucznych uśmiechów, a potem to już krzyki, wrzaski, kłótnie. Takie niezbyt wyjątkowe, takie co to ich doświadczało każdego dnia. Kłótnie o sposób bycia, sposób radzenia sobie z galopującym

związkiem, galopującym światem i człapiącym za tym wszystkim sobą samym. I standardowo stopniowe wyciszanie, dogasający żar wypalonych receptorów, które to ostatkiem sił od czasu do czasu błysną, a potem wracają do zwykłej, spalonej na popiół formy.

Pogodzili się, a jakże. Nawet tego nie potrafili zrobić do końca: zwykłe ludzkie wojenki przerywali w połowie, jakby brakowało sił albo determinacji, albo przekonania o słuszności kłótni czy też przekonania o tej słuszności braku – albo i wszystkiego z osobna brakowało. Po uwzględnieniu tego wszystkiego zostawała więc tylko nicość, którą trzeba wypełnić tradycyjnym obiadem, kolacją, kinem od czasu do czasu, tymi drobnicami dnia zwykłego, jako że od dawna cierpieli na deficyt niezwykłych.

Poszli coś zjeść, coś wypić. Później chyba tańczyli. Tak, tańczyli na pewno, do upadłego, do uchlanego, zwał jak zwał, a z każdym dźwiękiem – bo nutą nie sposób tego nazwać – szum w głowie narastał, hamulce zwalniały, błysk w oku skrzył się coraz bardziej nienaturalnie. Potem wrócili do mieszkania, ona śmiała się bez powodu, ocierała biodrami o jego krocze, doprowadzając go tym samym do szaleństwa, bo mimo że spotykali się od kilku lat, to od dawna nie uprawiali seksu. Jakoś się nie składało i tyle. Raz jej się nie chciało, raz jemu, a najczęściej to obojgu.

Ale nie tego dnia. Tego dnia poczuł wszechogarniającą falę pożądania, której nie potrafił okiełznać. Dotknął ją najpierw delikatnie, jakby robił to pierwszy raz, choć przecież znał ją jak zły szeląg – i do tego poniekąd sprowadzał się cały problem. Coś wygasło z czasem i nie chciało ożyć. Potem chwycił ją bardziej łapczywie, silniej, ścisnął pośladek z pijackim otępieniem na twarzy. Do pewnego momentu ją to bawiło, wyglądała na szczęśliwą. Potem powiedziała stop. Złapała go za rękę i odciągnęła, tyle tylko że on nie potrafił się już zatrzymać. Wyrwał się z jej chwytu i siłą zdarł z niej bluzkę. „Igor, proszę...” – zaczęła i urwała. Ten, kiedy spojrzał jej w oczy, dostrzegł w nich bezkresne przerażenie. Po chwili obudził się w tym koszmarnym pomieszczeniu.

Igor. Nazywa się Igor. To już coś. To już pierwsza cegiełka do zbudowania złudnego poczucia bezpieczeństwa, bo człowiek bez tożsamości to prawie jak nieczłowiek albo pół człowiek. Igor. Nazwiska nie pamiętał, ale też pamiętać w tej chwili nie musiał. Imię jest ok, póki co musi wystarczyć.

Powiódł wzrokiem wokół. Znalazł się w pomieszczeniu geometrią przywodzącym na myśl hotelowy korytarz. Na każdej ścianie, w dwóch rzędach, wisiały lustra. Podobnie na podłodze, choć tam rząd był tylko jeden. Z każdego zakamarka lpywały na niego zdeformowane odbicia.

Wszystko go bolało. Jakby przebiegł kilkanaście kilometrów, pod prąd przepłynął Wisłę, a na deser zaserwował sobie heroinowy maraton, który właśnie dobiegł końca. Mięśnie wyły z bólu i on sam też miał ochotę wyć, po to tylko, by zająć czymś zbłąkany umysł, przydusić wyrzuty sumienia wybuchające na wspomnienie przerażonej twarzy Karoliny, a przede wszystkim zaś odsunąć od siebie konieczność konfrontacji z tym otaczającym go surrealizmem. Bo to miejsce nie było zwykłe, nie przypominało niczego, co znał. Nie należało do tego świata, w którym – jak mniemał niedawno – tańczył ze swoją dziewczyną, pijąc tanie wino, i najwyraźniej próbował ją...

Nawet w myślach nie potrafił tego przyznać. Nie mówiąc o wypowiedzeniu na głos. Bo przecież on taki nie jest, prawda? To nie on, nie ma takiej możliwości. On pracuje na nieciekawym etacie, trochę mu życie ucieka przez palce, trochę boi się innych ludzi, trochę nieszczęśliwy jest, albo i trochę więcej niż trochę, ale przecież nie skrzywdziłby jej – on nie krzywdzi, Igor tylko sobie wegetuje, nikomu nie wadząc. Może poza rodziną i Karoliną, a i to tylko czasami, gdy sobie o nim przypomną. Co złego to nie Igor, co nieudanego to inna sprawa, co toksycznego to może i też, ale nie złego.

Był nagi, co, biorąc pod uwagę ostatnie zachowane wspomnienie, nie pomagało. Z nadludzkim

wysiłkiem podszedł do ściany. Przejrzał się w jednym z luster i odskoczył z przerażenia. Odbicie nie zareagowało. Stało tak jak wcześniej, patrząc wprost przed siebie z twarzą bezrefleksyjną – aż ciarki brały. Nie to było jednak najdziwniejsze. Ze zwierciadła spoglądał dużo młodszy Igor, Igor gimnazjalista. To wtedy nosił tę kretyńską kozią bródkę.

Przełamał lęk i, drobiąc kroki, podszedł do zwierciadła. Machnął dłonią przed taflą, na co odbicie nie zareagowało. Zbliżał twarz coraz bardziej, aż koniuszek nosa dotknął chłodnego szkła.

Coś chwyciło go z ogromną siłą za ramiona, przeciągając na drugą stronę, wciskając bezradnego Igora w zbyt wąski otwór. Atomy składające się na mięśnie, kości i mózg uległy spłaszczeniu, zachodziły jeden na drugi, tworząc bezwładną kulkę materii niezdolną pełnić żadnych funkcji. Wszystkiemu towarzyszył wszechobecny, fizyczny ból. Igor dotarł do skrajnej wytrzymałości, przekonany, że nie zdoła wytrzymać ani minuty dłużej. Błagał o ukojenie, o koniec, o śmierć albo niebyt nawet, gdy zrozumiał, że wszystko ustało tak nagle, jak nagle się zaczęło.

Szkoła, gimnazjum. Jego młodsza wersja, jak zwykle w centrum uwagi. Szydząca z „małego” Lędźwiaka, który, mówiąc delikatnie, do szczupłych nie należał. Pamiętał ten dzień, gnojkwowi nie wytrzymały spodnie i chodził

po szkole z wielką dziurą na tyłku. Śmiali się wszyscy.

Obserwował to z lotu ptaka. Obecny duchem, bo z pewnością nie ciałem, choć z drugiej strony to właśnie ciało doświadczało tego bólu. Czy to śmierć? Czy coś innego? Rozpaczliwie potrzebował odpowiedzi, lecz nie potrafił nawet postawić właściwego pytania. Wrócił wzrokiem do rozgrywanej pod nim sceny.

Widział, jak Lędźwiak wbiega do ubikacji. Poleciał za nim. Ściana nie stanowiła żadnej zapory, więc przeniknął przez nią jak promieniowanie radioaktywne, nie zauważając nawet momentu przejścia. Młody Mateusz siedział na desce klozetowej i płakał. Rzecz jasna tamtego dnia, kilkanaście lat wcześniej, nikt nie widział finału historii. Dla nich cały ten ambaras, ten nic nie znaczący incydent zakończył się salwą śmiechu i pocieszenie wystającymi spomiędzy pękniętego szwu szarymi, niknącymi za drzwiami ubikacji slipkami. Gdy Igor był już na studiach, doszły go słuchy, że Lędźwiak popełnił samobójstwo. Informacja nieco go przybiła na całe kilka godzin, wszak z Mateuszem nie miał żadnego kontaktu od czasu tego właśnie dnia. Nawet przez myśl mu wtedy nie przeszło, że jego szyderstwa mogły pchnąć pierwszy kamyk, który zmienił się w lawinę skutkującą tym ostatecznym aktem desperacji, poświęceniem jedyne go stałego dobra jakie mamy – własnego życia. Nawet przez

myśl mu nie przeszło, że jakikolwiek ułamek, choćby promil odpowiedzialności może spoczywać na jego barkach. Aż do dziś. Aż ujrzał tego młodego chłopaka płaczącego na desce klozetowej. Chciał podfrunąć w jego stronę, przeprosić, choć zdawał sobie sprawę z bezcelowości swoich starań, z oczywistego nietaktu przeprosin skierowanych do fantomu człowieka, którego od lat nie ma wśród żywych.

Znów zbyt wąski otwór i znów ten ból, tyle że w rewersie. Próżnia pochłaniająca krzyż, łopatki, ramiona i głowę, tak jakby to były tylko bezwładne połacie mięsa podążające przetartą przez resztę większych i ważniejszych części ciała drogą.

Upadł na podłogę znanego już sobie korytarza przy akompaniamencie pękającego zwierciadła, z którego wypadł. Drobinki szkła rozplynęły się w powietrzu. W miejscu tafli była ta sama czerni, co na suficie. Igor podniósł się na łokciach i rozejrzał. Żadnych drzwi. Tylko lustra, lustra, lustra i nicość nad głową.

Zagubienie. Ból. Abstrakcja. Strach. Dezorientacja. Miraż emocji tyleż oczywistych, co niepożądanych, tyleż dewastacyjnych, co nieuniknionych. Chciał wierzyć, że po prostu zaćpał. Wziął działkę za dużo albo trafił na trefny towar. Przeczeka i tyle, w końcu dojdzie do siebie – może w celi, może w szpitalu, nie dbał o to. Byleby było to miejsce racjonalne, z czterema ścianami,

drzwiami, oknem i źródłem światła. Bo choć w korytarzu widział wszystko, to nie było tu żadnych lamp ani okien.

Czcze życzenia. Odczuwał to wszystko zbyt wyraźnie, zbyt trzeźwo się czuł. Na tyle szybko, na ile pozwalały zachowane siły, podbiegł do ściany i z całą mocą uderzył w jedno ze zwierciadeł. Nie przyniosło to żadnego skutku poza tym, że do szerokiej gamy boleśnie obitych miejsc dopisał rozbitą dłoń. Jakby walnął w metalową bryłę.

Zaklął z bezsilności. Krzyczał. Nigdy wcześniej tak nie krzyczał. Ryk bólu i szaleństwa, doprawione nutą desperacji. Wychodziło na to, że jedynym sposobem na pozbycie się tych przeklętych luster jest przeżycie historii, które skrywały.

Podszedł do kolejnego zwierciadła. Młodsze odbicie. Tak samo przerażająco nijakie. Krótko sprzed ery Karoliny. Nie zmienił się wiele, co stwierdził po fryzurze. Podszedł do lustra i przybliżył twarz.

Dyskoteka, młodszy on bawi się z nieznaną dziewczyną. Całują się, obmacują, śmieją. W drzwiach klubu staje Olga, jego ówczesna partnerka. Na początku uśmiechnięta, rozgląda się po lokalu, najwyraźniej kogoś szuka, nietrudno domyślić się kogo. W końcu znajduje, w niedwuznacznej pozie ze skąpo ubraną dziewczyną. Kąciaki ust opadają, ramiona wiotczeją. Jakby

zmalala, zapadla sie w sobie. Zwrot na piecie, spektakularne wyjscie. Duch Igora dryfuje za nia. Dziewczyna siada na krawezniku, szlocha. Usuwa numer z telefonu. Kasuje wspolne zdjecia. Lapie taksowke. Odjezdza.

Igor upadl na plecy, w tle eksplodowalo lustro. Czarna plama pośród zwierciadel zwiekszyła objętość niczym gangrena požerająca resztki jego psychicznej stabilizacji.

Dlatego Olga go odcięła. Przyłapała go z inną. Nie pamiętał tego, w tamtych czasach, zresztą tak jak i w obecnych, nie wylewał za kołnierz. A przecież kochał Olę. Chryste, jak on ją kochał. Cała ta galopada długą drogą w dół, cały ten stopniowy zjazd jak postępujący nowotwór i równie jak on nieunikniony – wszystko to zaczęło się od Olgi. Od tego, że usunęła go ze swojego życia ot tak, z dnia na dzień, bez powodu – jak dotychczas sądził. Wyjechała do innego miasta bez słowa wyjaśnienia, słuch o niej zaginął. To on poczuł się pokrzywdzony, to on zbudował z zerwania tej relacji idealne usprawiedliwienie degrengolady własnej osoby.

Ocierając łzy, podbiegł do kolejnego lustra. Bum, środek nocy. Jego przyjaciel Tomek czeka na niego, ma problem. Dziewczyna go rzuciła, chłop potrzebuje Igora, jego rady, pocieszenia, a nade wszystko obecności. Od dwóch lat nie brał amfetaminy, a jednak teraz stoi z woreczkiem białego proszku w małej torebce. Igor się

nie pojawia. Nie ma ani czasu, ani chęci na smętne opowieści. Tomek chowa działkę do kieszeni, odchodzi. Dwie godziny później woreczek jest pusty.

Bum, plaża w Sopocie. Igor ze znajomymi. Pijaczek prosi ich o drobne na bułkę. Igor krzyczy, żeby wziął się do roboty, nie przeszkadzał ludziom ciężko pracującym w zasłużonym odpoczynku. Pół godziny później mężczyzna leży martwy na chodniku, a następnego dnia gazety piszą krótka notkę o bezdomnym, który zmarł z wycieńczenia i głodu pośród tysięcy obojętnych turystów odwiedzających Trójmiasto.

Chwila przerwy. Czerni coraz więcej, co przynosi pewną satysfakcję, jakby wyciskał pryszcz. Niby obrzydliwość, a nie sposób się oprzeć. Spojrzał na podłogę. W jednym z luster zobaczył swojego ojca. Zaintrygowany klęknął, dotknął twarzą zwierciadła. Wpadł... Wprost do swojego domu z dzieciństwa.

Ojciec patrzy na niego gniewnym wzrokiem. Igor ma może dwanaście, trzynaście lat. Ojciec trzyma w ręku magazyn dla dorosłych. Jeden z tych, które znalazł za łóżkiem chłopaka. Ściąga pas ze spodni. Przekłada upokorzonego Igora przez kolano. I tłucze, tłucze, tłucze. Powietrze rozdzierają naprzemiennie odgłosy świszczącego paska i suchego trzasku.

Igor wypada, lustro pęka. Kolejne zwierciadło na podłodze. W odbiciu widzi Trolla, największego

chuligana z osiedla, na którym dorastał. Pochyla się nad taflą i wpada.

Mały Igor idzie do szkoły z tornistrem większym od siebie. Z bramy wychodzi Troll. Śmieje się, zabiera Igorowi plecak, wyrzuca zawartość na chodnik. Zabiera kanapkę, rozpina rozprek ordynarnie szcza do torby, po czym zakłada tornister Igorowi na głowę i odchodzi, śmiejąc się w głos.

Dorośli Igor wypada, lustro pęka. Mężczyzna zaczyna widzieć prawidłowości. Na ścianie złe rzeczy, które uczynił innym ludziom. Na podłodze odwrotnie – złe rzeczy, które jemu uczyniono. A jednak na ścianach jest zdecydowanie więcej luster. Niepokojąco więcej.

Rusza dalej. Ściana, ściana, podłoga. Ściana, ściana, podłoga. Ciało rozrywa ból, to nic. Po prostu musi. Musi i już.

Nie przychodzi na urodziny do babci, jak się okazuje, jej ostatnie.

Przejeżdża na czerwonym świetle przez skrzyżowanie. Kierowca, który jedzie za nim, przyspiesza, żeby też się załapać. Wpada wprost pod tira.

Nauczycielka matematyki celowo wprowadza go w błąd przy rozwiązywaniu zadania, żeby jej córka lepiej wypadła na końcowych egzaminach na tle reszty klasy.

Igor podrzuca koledze ziolo, żeby samemu nie ryzykować cofnięcia na bramce klubu. W trakcie

imprezy wlatuje policja. Kolega dostaje zawiasy za posiadanie.

Igor rzuca petardami w bezpieczeństwa psy. Eksplozja. Jeden z nich zostaje trafiony odpalonym lontem w oko.

Stare Miasto. Grupa zakapturzonych kiboli podbiega do Igora. Pytają, za kim jest. Odpowiada, że za Polską. Każą mu nie pyskować, biją, kopią. Igor ląduje w szpitalu. Diagnoza? Złamanie i obicie. Do dzisiaj podczas deszczu wszystko go boli.

Wszystko trwa bardzo długo. Dziesiątki win, mniejszych i większych. Złe uczynki, które zrobił, i dużo mniej tych, których doświadczył. Pękające lustra, coraz więcej czerni, coraz mniej historii do zobaczenia.

Po godzinach, które wydają się zmieniać w dni i tygodnie, zostało już tylko jedno lustro na podłodze i jedno na ścianie. Igor spokojnie podszedł do tego na podłodze i zajrzał. Zobaczył Olę. Wiedział, co to za historia. Nie chciał wejść w nią po raz kolejny. Pamiętał aż za dobrze. Zewsząd otaczała go czerń, oblepiała, łąpała w swoje złośliwe ręce i ścisnęła tak, jakby wnętrzości miały lada chwila wyprysnąć z każdego otworu w ciele, z każdego pora i dziurki.

Pochylił się. Wpadł.

Krąży po dawniej wynajmowanym mieszkaniu. W dole Igor leży na kanapie w pozycji embrionalnej i obejmuje kolana. Płacze. Może

nie płacze, a wyje. Krzyczy coś o tym, że jej nienawidzi, chociaż rzecz jasna łąe jak pies. Kocha ją i z tej miłości głównie wariuje – ból złamanego serca emanuje z każdego milimetra kwadratowego pomieszczenia, z każdego mikrona farby pokrywającej ściany. Krążąc ponad dawnym sobą, wspomina te dni i na samą ich myśl wraca cały ból, całe cierpienie.

Igor wypadł w ciemność. Lustro eksplodowało. Otoczył go mrok.

Zbierał się przez chwilę. Był fizycznie zmęczony, a psychicznie wyczerpany jak te zwykłe baterie z reklam Duracella. Podszedł do ostatniego lustra na ścianie. Sprawiało wrażenie, jakby jego kontury się rozmywały, a tafla zaszała kurzem. W odbiciu widział siebie, również niewyraźnego, choć najbardziej „aktualnego”. Nawet ubiór zgadzał się z tym, w którym wyszedł na spotkanie z Karoliną. Domyślił się, co zobaczy. Wpadł.

Lawiruje pod sufitem wynajmowanego wspólnie z Karoliną mieszkania. W dole dziewczyna wrywa mu się, on jednak prze do przodu. Bezmyślny wzrok, zwierzęca dzikość, niewypowiadana na głos i pierwotna nienawiść do świata, do ludzi, do Karoliny, a najbardziej do siebie. Igor krążący po pokoju płacze, krzyczy do nich, choć nie mają prawa go usłyszeć. Chce to zatrzymać, nie może, nic nie może zrobić – tylko patrzeć na cierpiącą, niewinną

dziewczyne, dziewczynę z którą spędził ostatnie lata życia, z którą może nie tyle był, co bywał szczęśliwy. Którą na swój ułomny sposób też kochał. A teraz obserwuje to zwierzę robiące jej krzywdę, ten szatański pomiot, człowieka z gatunku tych, którymi przez całe życie gardził. Obserwuje siebie.

Wypadł ze zwierciadła. Wymiotował, czy też rzygał jak kot. Klęknął w absolutnym mroku. Nie widział nawet swoich dłoni, zupełnie jakby zlały się w jedno z otaczającą go ciemnością. Ręce opadły wzdłuż tułowia.

Było cicho. Bardzo cicho, nie licząc cichego łkanie Igora. Po kilku minutach, po wyrównaniu oddechu, gdzieś na krańcach świadomości usłyszał buczenie. Dźwięk narastał. Był coraz głośniejszy, z czasem buczenie przerodziło się w ogłuszający huk przywodzący na myśl największe wodospady świata. Złapał się za głowę, krzyczał, choć nie słyszał sam siebie, nie był w stanie zagłuszyć tego dźwięku, żaden człowiek nie byłby w stanie go zagłuszyć, tysiące osób nie byłyby w stanie. Z tumultu udało mu się wyłapać nic nie znaczące pojedyncze słowa: „zły”, „tak”, „nie”, „stop”, „stój”, „zaczekaj”.

Otwiera oczy. Jest w mieszkaniu Karoliny. Dziewczyna ze zdartą bluzką patrzy na niego błagalnie, z jej oczu płyną łzy. Igor trzyma ją za rękę, druga ręka spoczywa na pasku spodni. Puszczą.